

JACK REACHER

**LEE
CHILD**

SIŁA PERSWAZJI



ALBATROS

JACK REACHER

Imię i nazwisko: Jack Reacher

Narodowość: amerykańska

Urodzony: 29 października 1960 roku w Berlinie

Charakterystyczne dane: 195 cm, 99–110 kg, 127 cm w klatce piersiowej

Kolor włosów: ciemny blond

Kolor oczu: niebieski

Ubranie: kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie: szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie, Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby: 13 lat w Żandarmerii Armii USA, w 1990 roku zdegradowany ze stopnia majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w roku 1997

Odnaczenia służbowe: Srebrna Gwiazda, Medal za Wzorową Służbę, Medal Żołnierza, Legia Zasługi, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

Ostatni adres: nieznany

Czego nie ma: prawa jazdy, dokumentu ze zdjęciem, osób na utrzymaniu

1

Policjant wysiadł z samochodu cztery minuty przed tym, jak trafiła go kula. Zachowywał się tak, jakby z góry wiedział, co go czeka. Pchnął mocno stawiające opór drzwi, powoli obrócił się na wytartym fotelu z skóry i opuścił obie nogi na asfalt. Następnie chwycił się oburącz drzwi i podciągnął. Przez sekundę stał bez ruchu, potem się odwrócił i zamknął samochód. Znów znieruchomiał i po chwili oparł się o maskę obok reflektora.

Wóz był siedmioletnim chevroletem caprice, czarnym, bez oznakowań. Miał trzy anteny i zwykłe chromowane kołpaki. Większość gliniarzy twierdzi, że to najlepszy wóz policyjny, jaki kiedykolwiek wyprodukowano. Gość wyglądał tak, jakby podzielał tę opinię. Sprawiał wrażenie weterana pracy w cywilu, detektywa, który ma dostęp do pojazdów policyjnych wszelkiego rodzaju, a jeździ starym chevroletem tylko dlatego, że lubi; nie wydawał się zainteresowany nowiutkimi fordami. Bił od niego upór i przywiązanie do tradycji. Był masywny, wysoki i garbił się, szerokie ramiona rozpięły prosty czarny garnitur z grubej wełny. Starszy facet. Odwrócił głowę i powiódł wzrokiem wzdłuż ulicy. Potem wyciągnął grubą szyję, oglądając się przez ramię na bramę uczelni. Dzielilo nas trzydzieści metrów.

Brama służyła wyłącznie do ozdoby: dwa wysokie ceglane filary wyrastały z szerokiego, wypielęgowanego trawnika tuż

przy chodniku. Łączyły je ażurowe skrzydła z frymuśnie powyginanych żelaznych prętów połyskujących czernią, jakby świeżo je odmalowano. Prawdopodobnie czyniono to każdej zimy. Tak naprawdę brama do niczego nie służyła – ktoś, kto chciałby ją ominąć, mógł po prostu przejechać przez trawnik, a zresztą i tak nie była zamknięta. Po obu stronach podjazdu, dwa metry dalej, sterczały niewielkie, sięgające kolan żelazne słupki z metalowymi kółkami. Przymocowano do nich oba skrzydła, teraz szeroko otwarte. Podjazd prowadził do skupiska czerwonych budynków z cegły znajdujących się, jakieś sto metrów dalej. Były zwieńczone stromymi, omszałymi dachami i stały w otoczeniu wysokich drzew. Po obu stronach podjazdu i przy chodniku również rosły drzewa. Były wszędzie. Właśnie wypuszczały pierwsze liście, maleńkie, zwinięte i jasnozielone. Wiedziałem, że za pół roku będą wielkie, czerwono-złote, a fotografowie z całego kraju zjadą się tutaj, by robić zdjęcia do broszur reklamowych.

Dwadzieścia metrów za gliniarzem, jego wozem i bramą, po drugiej stronie drogi, tuż przy krawężniku parkowała furgonetka. Stała przodem do mnie, w odległości pięćdziesięciu metrów. Wydawała się trochę nie na miejscu – brudnoczerwona, z potężnym dodatkowym zderzakiem zamontowanym z przodu – matowoczarnym i wyglądającym tak, jakby kilka razy został wygięty i rozprostowany. W kabinie siedzieli dwaj mężczyźni: młodzi, wysocy, gładko wygoleni, jasnowłosi. Po prostu siedzieli nieruchomo i patrzyli przed siebie, na nic konkretnego. Nie na gliniarza. Ani nie na mnie.

Zająłem miejsce na południe od nich. Moja anonimowa brązowa furgonetka stała przed sklepem muzycznym, takim, jakie zwykle spotyka się w pobliżu uczelni. Na chodniku przed sklepem ustawiono regały z używanymi płytami CD. W oknie wisiały plakaty reklamujące zespoły, o których nikt nigdy nie słyszał. Tylne drzwi furgonetki były otwarte, w środku piętrzyły się stosy kartonów. W rękę trzymałem plik papierów. Miałem na sobie płaszcz, bo kwietniowy poranek

był dość chłodny, a także rękawiczki, bo z kartonów sterczały ostre zszywki. Miałem też broń, gdyż rzadko się z nią rozstaję. Tkwiła za paskiem spodni, z tyłu, pod płaszczem. Colt anaconda, wielki stalowy rewolwer przystosowany do pocisków magnum .44. Długi na trzydzieści dwa i pół centymetra, ważył prawie dwa kilogramy. Nie powiem, by stanowił moją ulubioną broń. Był twardy, ciężki i zimny; cały czas czułem jego dotyk.

Zatrzymałem się pośrodku chodnika i uniosłem wzrok znad papierów, słysząc charakterystyczny odgłos uruchamianego silnika. Czerwona furgonetka nadal stała w miejscu, silnik pracował głośno. Wokół tylnych kół zbierał się w zimnym powietrzu biały obłok spalin. Było wcześniej, ulica świeciła pustkami. Cofnąłem się za furgonetkę i zerknąłem w stronę budynków uczelni. Przed jednym z nich parkował czarny lincoln town car. Obok niego stało dwóch facetów. Nawet z odległości stu metrów żaden nie przypominał kierowcy limuzyny. Kierowcy limuzyn nie działają parami, nie są młodzi, dobrze zbudowani i bezustannie czujni. Ci goście zdecydowanie wyglądali na ochroniarzy.

Budynek, przed którym parkował lincoln, przypominał niewielki akademik. Nad drewnianymi drzwiami lśniły greckie litery. Zobaczyłem, że ze środka wychodzi młody, chudy chłopak, na pierwszy rzut oka student. Miał długie, brudne włosy i ciuchy nie lepsze od bezdomnego. W rękę jednak trzymał elegancką torbę z błyszczącej skóry. Jeden z ochroniarzy został na miejscu, drugi otworzył mu drzwi wozu. Chudy chłopak cisnął torbę na tylne siedzenie i wsunął się za nią. Zatrzasnął za sobą drzwi. Usłyszałem ich szcęk, słaby i stłumiony. Ochroniarze rozglądali się przez sekundę, potem usiedli z przodu i kilka sekund później wóz ruszył z miejsca. Trzydzieści metrów za nim pojawił się samochód ochrony uczelni i potoczył wolno w tę samą stronę. Wyglądało to na czysty przypadek, a nie na celowy konwój. W środku siedziało dwóch wynajętych gliniarzy. Usadowieni niedbale w fotelach sprawiali wrażenie

rozleniwionych i znużonych.

Zdjąłem rękawiczki i cisnąłem je na tył furgonetki. Wyszędłem na ulicę, by lepiej widzieć. Ujrzałem lincolna; zbliżał się od strony podjazdu, niezbyt szybko. Był czarny i błyszczący – nieskazitelny lakier, chrom, wszystko starannie nawoskowane. Gliniarze trzymali się daleko z tyłu. Limuzyna przystanęła przy bramie, po czym skręciła w lewo, zbliżając się do czarnego policyjnego chevroleta. I do mnie.

To, co się potem wydarzyło, trwało około ośmiu sekund, lecz wydawało się, że zaledwie mgnienie oka.

Czerwona furgonetka ruszyła spod krawężnika dwadzieścia metrów za mną, przyspieszyła ostro, zrównała się z lincolnem, odbiła w bok i minęła go, niemal ocierając się o chevroleta starego policjanta. Potem znów przyspieszyła, skręciła lekko i wtedy kierowca gwałtownie obrócił kierownicą, tak że koniec masywnego zderzaka rąbnął w przedni błotnik lincolna. Kierowca furgonetki nie puszczał kierownicy, wciąż dociskał pedał gazu, zmuszając lincolna do zjazdu na pobocze. Opony zaryły w trawę, limuzyna zwolniła i uderzyła w drzewo. Rozległ się głuchy łoskot, zgrzyt pękającego, wgniatanego metalu, donośny brzęk tłuczonych reflektorów. W powietrze wzleciał wielki obłok pary. Maleńkie listki zadygotały gwałtownie w nieruchomym porannym powietrzu.

I wtedy dwaj faceci z furgonetki wyskoczyli na ulicę i otworzyli ogień. W dłoniach trzymali czarne pistolety maszynowe i zasypywali lincolna pociskami. Hałas był ogłuszający. Widziałem błyski mosiężnych łusek padających na asfalt niczym deszcz. Mężczyźni szarpnęli za drzwi lincolna, otworzyli je. Jeden z nich pochylił się i zaczął wyciągać dzieciaka, drugi wciąż ostrzeliwał przód wozu. Potem sięgnął do kieszeni lewą ręką i wyciągnął coś, co przypominało granat. Cisnął go do wnętrza lincolna, zatrzasnął drzwi, chwycił za ramiona kumpla i dzieciaka, odwrócił i pociągnął ich w dół. Wnętrze lincolna eksplodowało w nagłym błysku, szyby popękały. Choć stałem ponad dwadzieścia metrów dalej, w pełni odczułem

wstrząs wybuchu. Wokół sypały się odłamki szkła, migocząc tęczo w promieniach słońca. Wtedy facet, który rzucił granat, podniósł się z ziemi i popędził do furgonetki. Tymczasem jego towarzysz wepchnął dzieciaka do kabiny i wsiadł za nim. Trzasnęły drzwi. Ujrzałem przez brudną szybę młodzieńca uwięzionego na środkowym siedzeniu. Na jego białej z przerażenia twarzy malowała się groza, usta były otwarte w niemym okrzyku. Kierowca szarpnął dźwignię biegów, usłyszałem ryk silnika i pisk opon, i furgonetka ruszyła wprost na mnie.

To była toyota; dostrzegłem napis na kratownicy za zderzakiem. Miała wysokie zawieszenie – widziałem z przodu wielki czarny dyferencjał wielkości piłki futbolowej. Napęd na cztery koła, wielkie, grube opony. Wgniecenia i wyblakły lakier, niemyty od czasu, gdy wóz opuścił fabrykę. Samochód jechał wprost na mnie.

Miałem niecałą sekundę na podjęcie decyzji.

Podrzuciłem połą płaszcza i wyciągnąłem colta. Wycelowałem bardzo starannie i wypaliłem jeden raz, prosto w chłodnicę toyoty. Wielki rewolwer huknął i podskoczył w mojej dłoni. Pocisk kalibru czterdzieści cztery strzaskał chłodnicę. Wystrzeliłem ponownie, w lewą przednią oponę. Rozprysnęła się w efektowną fontannę strzępów czarnej gumy. W powietrzu załopotwały długie kawałki rozwalonej dętki. Furgonetka skręciła w poślizgu i zatrzymała się tak, że miałem obok siebie kierowcę. Dziesięć metrów. Umknąłem za swój wóz, zatrzasnąłem tylne drzwi, wyskoczyłem na chodnik i strzeliłem w lewą tylną oponę. Ten sam skutek, wszędzie pełno gumy. Furgonetka przechyliła się pod ostrym kątem, wsparta jedynie na obręczach kół. Kierowca otworzył drzwi, wypadł na asfalt i dźwignął się na jedno kolano. Trzymał broń w niewłaściwej ręce, przerzucił ją. Odczekałem, nim zyskałem pewność, że zamierza we mnie wycelować. Podparłem lewą ręką prawe przedramię obciążone dwukilowym coltem, wycelowałem starannie w środek korpusu faceta, tak jak nauczono mnie dawno temu, i nacisnąłem spust. Miałem wrażenie, że

jego klatka piersiowa eksplodowała w potężnym obłoku krwi. Chudy chłopak w kabinie zeszytywniał ze zgrozy; patrzył przed siebie przerażony. Drugi facet zdążył już jednak wysiąść i właśnie okrążał maskę, zmierzając w moją stronę. Zaczął unosić soplwę. Obróciłem się w lewo, odczekałem ułamek sekundy, podtrzymałem przedramię. Wycelowałem mu w pierś, strzeliłem. Ten sam efekt co poprzednio. Runął na plecy w chmurze czerwonej mgiełki.

Teraz chudy chłopak zaczął się poruszać w kabinie. Pobiegnęłam ku niemu i wyciągnęłam go przez zwłoki pierwszego porywacza. Razem popędziliśmy do mojej furgonetki. Był oklapły, oszołomiony. Wepchnęłam go na fotel pasażera, zatrzasnąłam drzwi, obróciłem się na pięcie i obszedłem prędko maskę. Kątem oka dostrzegłem trzeciego faceta, szedł wprost na mnie. Sięgał pod marynarkę. Wysoki, dobrze zbudowany gość, ciemne ciuchy. Przytrzymałem rękę, wystrzeliłem, ujrzałem czerwony wybuch pośrodku jego piersi i w tym samym ułamku sekundy uświadomiłem sobie, że to stary gliniarz z chevroleta i że sięgał do kieszeni po odznakę: złotą tarczę w wysłużonym skórzanym portfelu. Teraz wyleciała mu z ręki, obracając się w powietrzu, i wylądowała pod krawężnikiem, tuż przed moją furgonetką.

Czas zatrzymał się w miejscu.

Patrzyłem na gliniarza. Leżał plecami w rynsztoku. Jego pierś zamieniła się w czerwoną miazgę. To koniec – nie dostrzegłem ani śladu pulsowania napływającej krwi, bicia serca. W koszuli ziała wielka, poszarpana dziura. Leżał nieruchomo, głowę miał obróconą, policzek przy asfalcie. Widziałem blade żyłki rozrzuconych szeroko rąk. Widziałem też czerń drogi, jaskrawą zieleń trawy, ostry błękit nieba. Słyszałem szum wiatru w młodych listkach, mimo że w uszach wciąż dźwięczało mi echo wystrzałów. Chudy chłopak wpatrywał się przez szybę w leżącego policjanta. Spojrzał na mnie. Z bramy po lewej wyłaniał się właśnie wóz ochrony uczelni. Jechał zbyt wolno. Nic dziwnego, padły przed chwilą dziesiątki strzałów.

Może obawiali się o swoją jurysdykcję, a może po prostu się bali. Zza szyby spoglądały na mnie jasnoróżowe twarze. Wóz ochrony sunął najwyżej dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę. Wprost na mnie. Zerknąłem na złotą odznakę leżącą w rynsztoku. Wytarty metal lśnił. Tyle lat służby. Obejrzałem się na furgonetkę. Wciąż stałem bez ruchu. Już dawno temu nauczyłem się jednej rzeczy: bardzo łatwo zastrzelić człowieka, ale w żaden sposób nie da się tego cofnąć.

Usłyszałem wóz ochrony, jechał powoli w moją stronę, koła zrzytały na drobnych kamykach pokrywających asfalt. Poza tym wokół panowała cisza. A potem czas znów ruszył naprzód i głos w mojej głowie krzyknął: uciekaj, uciekaj!

Rzuciłem się biegiem do furgonetki, wskoczyłem do kabiny, cisnąłem broń na środkowe siedzenie, włączyłem silnik i zawróciłem tak ostro, że przez moment wóz balansował na dwóch kołach. Chudy chłopak poleciał na bok. Wyprostowałem kierownicę, dodałem gwałtownie gazu i ruszyłem na południe. Niewiele widziałem w lusterku, dostrzegłem jednak, że ochroniarze z uczelni zapalili koguta i ruszyli za mną. Dzieciak milczał, siedział bez ruchu z otwartymi ustami, skupiony wyłącznie na tym, by nie zlecieć z fotela. Ja starałem się przyspieszyć. Na szczęście nie było zbyt wielkiego ruchu. Senne miasteczko w Nowej Anglii, wczesny poranek. Rozpędziłem furgonetkę do jakiejś setki, zaciskając dłonie na kierownicy tak mocno, że zbieleły mi kostki. Po prostu patrzyłem na drogę przed sobą, jakbym nie chciał widzieć, co się dzieje za moimi plecami.

– Blisko są? – spytałem dzieciaka.

Nie odpowiedział. Wciąż był w szoku, wcisnął się w kąt fotela jak najdalej ode mnie. Patrzył w sufit, prawą dłoń opierał o drzwi. Błada skóra, długie palce.

– Blisko? – powtórzyłem.

Silnik ryczał wściekle.

– Zabiłeś policjanta – powiedział. – Ten stary gość był policjantem, wiesz?

Wiem.

– Zabiłeś go.

– To był przypadek – odparłem. – Daleko są?

– Pokazywał ci odznakę.

– Daleko?!

W końcu się poruszył, odwrócił i pochylił głowę, by móc wyjrzeć przez niewielkie okna z tyłu.

– Trzydzieści metrów – odparł. Jego głos zabrzmiał głucho, dosłyszałem w nim lęk. – Bardzo blisko. Jeden z nich się wychyla, ma broń.

Dokładnie w tym momencie przez ryk silnika i pisk opon przebił się odgłos strzału. Wziąłem z fotela colta i odłożyłem z powrotem. Był pusty, wystrzeliłem już sześć razy. Chłodnica, dwie opony, dwóch facetów. I jeden policjant.

– Schowek na rękawiczki – rzuciłem.

– Powinieneś się zatrzymać – zauważył dzieciak. – Wyjaśnić im. Pomagałeś mi. To był wypadek.

Nie patrzył na mnie, wciąż spoglądał przez okna z tyłu.

– Zabiłem policjanta. – Staralem się mówić spokojnie, bez emocji. – Tylko tyle wiedzą, tylko tyle chcą wiedzieć. Nie będą się przejmować, jak i dlaczego.

Dzieciak nie odpowiedział.

– Schowek na rękawiczki – powtórzyłem.

Znów się odwrócił i otworzył go niezgrabnie. W środku leżała druga, identyczna anaconda. Lśniąca stal, pełny bębenek. Odebrałem ją chłopakowi. Spuściłem szybę i do środka natychmiast wdarło się zimne powietrze. Niosło ze sobą odgłos strzałów z pistoletu rozlegających się tuż za nami – szybkich, miarowych.

– Cholera – mruknąłem.

Dzieciak milczał. Tamci wciąż strzelali z głośnym, rytmicznym łoskotem. Jakim cudem pudłowali?

– Na podłogę – rzuciłem.

Przesunąłem się na bok i oparłem lewe ramię o słupek. Wyciągnąłem przed sobą prawą rękę i zgiąłem tak, by splu-

wa znalazła się za oknem i wycelowała w tył. Wystrzeliłem. Chłopak spojrzął na mnie ze zgrozą, przesunął się do przodu i przycupnął między krawędzią fotela i deską rozdzielczą, zakrywając rękami głowę. Sekundę później eksplodowało tylne okno trzy metry za miejscem, w którym jeszcze przed chwilą tkwiła jego głowa.

– Cholera – powtórzyłem i skręciłem, by poprawić kąt strzału. Znowu wypaliłem. – Potrzebuję cię, musisz patrzeć. Tylko ostrożnie.

Dzieciak nawet nie drgnął.

– Wstawaj! – warknąłem. – Już! Musisz patrzeć.

Podniósł się i przekręcił, aż w końcu jego głowa znalazła się wystarczająco wysoko, by mógł wyglądać przez tył. Nagle dotarło do niego, że jeszcze przed chwilą siedział dokładnie na linii ognia.

– Zaraz trochę zwolnię – oznajmiłem. – Odbiję w bok, żeby spróbowali mnie wyprzedzić.

– Nie rób tego – poprosił chłopak. – Jeszcze możesz wszystko wyjaśnić.

Puściłem jego słowa mimo uszu. Zwolniłem do osiemdziesiątki i skręciłem w prawo. Uczelniany wóz instynktownie ruszył w lewo, próbując mnie wyprzedzić. Wystrzeliłem ostatnie trzy pociski. Przednia szyba samochodu z tyłu zniknęła. Wóz wpadł w poślizg i obrócił się na środku drogi – może trafiłem w kierowcę, może w oponę. Z rozpędu zsunął się w rów, zmiażdżył kołami rząd wypielegnowanych krzewów i zniknął mi z oczu. Rzuciłem pustą spluwę na siedzenie obok, podniosłem szybę i ostro przyspieszyłem. Dzieciak milczał, cały czas patrzył przez stłuczone tylne okno. Wpadające przez nie powietrze napełniało furgonetkę cichym, osobliwym pojękiwaniem.

– No dobra – powiedziałem zdyszany. – Możemy już jechać.

Chłopak odwrócił się ku mnie.

– Zwariowałeś?

– Wiesz, co się dzieje z ludźmi, którzy zabijają policjantów? – odparłem.

Nie znalazł odpowiedzi. Przez jakieś trzydzieści sekund jechaliśmy w milczeniu, pokonując niemal kilometr – oddychaliśmy ciężko, mrugaliśmy, patrzyliśmy przed siebie jak zahipnotyzowani. Kabina furgonetki cuchnęła spalonym prochem.

– To był wypadek – zacząłem. – Nie mogę ożywić tamtego faceta. Pogódź się z tym.

– Kim jesteś? – spytał.

– A kim ty jesteś? – odpowiedziałem pytaniem.

Umilkł, dyszał głośno. Sprawdziłem w lusterku, droga za nami była pusta, przed nami także, wokół otwarta przestrzeń. Dziesięć minut jazdy dzieliło nas od estakady przy autostradzie.

– Jestem celem uprowadzenia – oznajmił.

Ciekawy dobór słów.

– Próbowali mnie porwać – dodał.

– Tak sądzisz?

Skinął głową.

– Coś takiego już się zdarzyło.

– Dlaczego?

– Dla pieniędzy – odparł dzieciak. – A jest inny powód?

– Jesteś bogaty?

– Mój ojciec, owszem.

– Kto to?

– Zwykły facet.

– Ale bogaty – uzupełniłem.

– Zajmuje się importem dywanów.

– Dywanów? – powtórzyłem. – Takich na podłogę?

– Wschodnich.

– Można się wzbogacić, sprowadzając wschodnie dywany?

– I to bardzo – zapewnił chłopak.

– Nazywasz się jakoś?

– Richard – odparł. – Richard Beck.

Znów sprawdziłem w lusterku. Droga nadal była pusta. Z przodu podobnie. Odrobinę zwolniłem, zająłem miejsce na środku pasa i próbowałem jechać jak zwykły kierowca.

– A kim byli tamci? – spytałem.

Richard Beck pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia.

– Wiedzieli, gdzie będziesz i kiedy.

– Jechałem do domu na urodziny matki. Wypadają jutro.

– Kto o tym wie?

– Trudno powiedzieć. Każdy, kto zna moją rodzinę. Pewnie wszyscy, którzy handlują dywanami. Jesteśmy znani w tych kręgach.

– Istnieją takie kręgi? – spytałem z niedowierzaniem. – Handlarzy dywanami?

– Wszyscy ze sobą konkurujemy, te same źródła zaopatrzenia, ten sam rynek. Wszyscy się znają.

Milczałem, jadąc dalej dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

– A ty? Nazywasz się jakoś? – spytał.

– Nie – odparłem.

Skinął głową, jakby rozumiał. Sprytny chłopak.

– Co teraz zrobisz?

– Zamierzam wysadzić cię przy autostradzie – oznajmiłem. – Możesz złapać okazję, wezwać taksówkę. A potem po prostu o mnie zapomnij.

Umilkł.

– Nie mogę cię zawieźć na policję, to wykluczone. Rozumiesz, prawda? Zabiłem jednego z nich, może trzech. Sam widziałeś.

Wciąż milczał. Czas na decyzję. Od autostrady dzieliło nas sześć minut jazdy.

– Zamkną mnie i wywalą klucz – ciągnąłem. – Schrzaniałem sprawę. To był wypadek, ale nie będą słuchać, nigdy nie słuchają. Więc nie prosz, żebym się do kogokolwiek zbliżał. Nie jako świadek czy coś w tym stylu. Znikam stąd, jakbym

nigdy nie istniał. Rozumiemy się?

Milczał.

– I nie podawaj im mojego rysopisu – dodałem. – Powiedz, że nic nie pamiętasz, bo byłeś w szoku. Inaczej znajdę cię i zabiję.

Nie odpowiedział.

– Wysadzę cię gdzieś – dokończyłem. – I pamiętaj, nigdy mnie nie widziałeś.

Poruszył się, przekręcił na fotelu i spojrzał na mnie.

– Zawieź mnie do domu – poprosił. – Damy ci pieniądze, pomożemy. Jeśli chcesz, ukryjemy. Moi rodzice będą bardzo wdzięczni. Ja już jestem wdzięczny, wierz mi. Ocaliłeś mi tyłek. Ta historia z gliniarzem to był wypadek, prawda? Zwyczajny wypadek. Miałeś pecha, sytuacja zrobiła się nerwowa, rozumiem to doskonale. Wszystko wyciszymy.

– Nie potrzebuję pomocy – zapewniłem. – Muszę się tylko ciebie pozbyć.

– Ale ja cię potrzebuję, żeby dotrzeć do domu. Pomożemy sobie nawzajem.

Cztery minuty do autostrady.

– Gdzie mieszkasz? – spytałem.

– W Abbot – odparł.

– A gdzie to jest?

– W Maine, na wybrzeżu, między Kennebunk Port i Portlandem.

– Jedziemy w złym kierunku.

– Na autostradzie możesz skrócić na północ.

– To jakieś trzysta kilometrów.

– Dostaniesz pieniądze. To ci się opłaci.

– Mógłbym cię wysadzić pod Bostonem – zastanawiałem się głośno. – Na pewno złapiesz autobus do Portlandu.

Pokręcił gwałtownie głową, jakby wstrząsnął nim jakiś atak.

– Nie ma mowy, nie mogę jechać autobusem. Nie powinienem być sam, nie teraz. Potrzebuję ochrony. Możliwe, że ci

ludzie wciąż tam są.

– Ci ludzie nie żyją – przypomniałem. – Tak jak ten cholerny gliniarz.

– Może mieli współpracowników.

Znów dziwne słowo. Chłopak sprawiał wrażenie drobnego, chudego i bardzo wystraszonego. Dostrzegłem pulsującą żyłkę na jego szyi. Odgarnął dłońmi włosy i obrócił głowę, pokazując mi jej bok. Nie miał lewego ucha. Pozostała tylko gruba blizna przypominająca surowy pierożek tortellini, mały surowy pierożek.

– Obcięli je i wysłali pocztą – oznajmił. – Za pierwszym razem.

– Kiedy?

– Miałem piętnaście lat.

– Twój tata nie zapłacił?

– Nie dość szybko.

Milczałem. Richard Beck siedział bez ruchu, pokazując mi bliznę. Wstrząśnięty, przerażony, oddychał jak automat.

– Nic ci nie jest?

– Zabierz mnie do domu. – W jego głosie zabrzmiała błagalna nuta. – W tej chwili nie mogę być sam.

Dwie minuty do autostrady.

– Proszę – dodał. – Pomóż mi.

– Cholera – mruknąłem po raz trzeci.

– Proszę. Pomożemy sobie nawzajem. Potrzebujesz kryjówki.

– Nie możemy zostać w tej furgonetce – oznajmiłem. – Musimy założyć, że w całym stanie podano już jej opis.

Spojrzał na mnie oczami pełnymi nadziei. Minuta do autostrady.

– Musimy znaleźć samochód – dodałem.

– Gdzie?

– Gdziekolwiek. Wszędzie jest pełno wozów.

Po południowo-zachodniej stronie estakady przycupnęło wielkie podmiejskie centrum handlowe. Widziałem je z da-

leka. Olbrzymie rdzawe budynki bez okien, jaskrawe neony. A wokół gigantyczne parkingi, do połowy wypełnione samochodami. Skręciłem i okrążyłem to miejsce. Było wielkie jak miasto. Wszędzie roilo się od ludzi. Nie podobało mi się to. Dotarłem do wejścia i wymijając długi szereg kontenerów na śmieci, ruszyłem na tyły wielkiego domu towarowego.

– Dokąd jedziemy? – spytał Richard.

– Na parking dla personelu – wyjaśniłem. – Klienci kręcą się cały czas, są nieprzewidywalni. Ale pracownicy sklepów zostają do wieczora, to bezpieczniejsze.

Spojrzał na mnie, jakby nie rozumiał, o czym mówię. Skręciłem w stronę ośmiu samochodów parkujących w rzędzie pod ścianą bez okien. Obok szaroburego, mniej więcej trzyletniego nissana maximy dostrzegłem wolne miejsce. Bardzo dobrze. Całkowicie anonimowy pojazd. Na parkingu panowała cisza i spokój. Minąłem wolne miejsce, zatrzymałem się i zaparkowałem tyłem, podjeżdżając pod samą ścianę.

– Muszę ukryć wybite okno – wyjaśniłem.

Dzieciak milczał. Wsadziłem do kieszeni płaszcza oba colty z pustymi magazynkami. Sprawdziłem drzwi maximy.

– Znajdź mi kawałek drutu – poleciłem. – Gruby kabel elektryczny albo wieszak.

– Chcesz ukraść ten samochód?

Skinąłem w milczeniu głową.

– To rozsądne?

– Gdybyś przypadkowo zastrzelił gliniarza, z pewnością byś tak myślał.

Chłopak przez moment patrzył na mnie tępo, w końcu obrócił się i pobiegł w bok. Opróżniłem anacondy i wyrzuciłem łuski do kontenera. Dzieciak wrócił z metrowym kawałkiem przewodu elektrycznego, który znalazł w śmietniku. Zdarłem zębami izolację, wygiąłem końcówkę w niewielki haczyk i przepchnąłem przez uszczelkę okna maximy.

– Patrz, czy ktoś nie idzie! – poleciłem.

Chłopak cofnął się, powiódł wzrokiem po parkingu, a ja

wepchnąłem do środka drut i zacząłem nim kołysać. Chwy-
ciłem klamkę i pociągnąłem parę razy, aż w końcu ustąpiła.
Wyrzuciłem drut, pochyliłem się nad kolumną kierownicy,
zdjąłem plastikową osłonę i szybko przejrzałem kable. Kiedy
znalazłem dwa właściwe, złączyłem je ze sobą. Silnik zakaszał
i zawarczał miarowo. Chłopak patrzył ze stosownym podzi-
wem.

– Burzliwa młodość – wyjaśniłem.

– Czy to rozsądne? – powtórzył.

Skinałem głową.

– Najrozsądniejsze w tej sytuacji. Nie zorientują się, że
zniknął, aż do szóstej wieczór, może nawet ósmej, kiedy za-
mykają sklep. A wtedy już dawno będziesz w domu.

Zawahał się przez moment z ręką na klamce. Potem otrzą-
snął się i wślizgnął do środka. Przesunąłem fotel kierowcy,
poprawiłem lusterko i wycofałem się powoli z zatoczki. Wol-
no ruszyłem przez parking. Nagle, jakieś sto metrów dalej, do-
strzegłem radiowóz. Najspokojniej w świecie zaparkowałem
na pierwszym wolnym miejscu i zacząłem z włączonym
silnikiem, aż intruz zniknie. Wtedy skręciłem pospiesznie w
stronę wyjazdu, pokonałem estakadę i dwie minuty później je-
chaliśmy już na północ szeroką, gładką autostradą, utrzymując
konserwatywną prędkość dziewięćdziesięciu kilometrów na
godzinę. W wozie unosiła się mocna woń perfum, dostrzegłem
też dwie paczki chusteczek. Do tylnej szyby przyczepiono pu-
chatego misia z przezroczystymi ssawkami zamiast łapek. Na
tylnym siedzeniu leżała dziecięca rękawica baseballowa. Sły-
szałem, jak w bagażniku przewala się aluminiowy kij.

– Matka z dziećmi – mruknąłem.

Chłopak nie odpowiedział.

– Nie martw się, pewnie jest ubezpieczona. Przypuszczam,
że to porządna obywatelka.

– Nie czujesz się źle? – spytał. – Z powodu tego policjanta?

Zerknąłem na niego. Był błydy, chudy i znów kulił się jak
najdalej ode mnie, opierając dłoń na drzwiach. Długie palce

przywodziły na myśl muzyka. Chyba chciał mnie polubić, ale nie zależało mi na tym.

– Zdarza się – odparłem. – Nie ma sensu się nakręcać.

– Co to, u diabła, za odpowiedź?

– Jedyne możliwe. To była drobna strata uboczna. Nic nie znaczy, chyba że w jakiś sposób odbije się na nas później. A poza tym i tak nie zdołamy tego zmienić, więc musimy z tym żyć.

Milczał.

– Zresztą to wina twojego ojca – dodałem.

– Bo jest bogaty i ma syna?

– Bo zatrudniał kiepskich ochroniarzy.

Bez słowa odwrócił wzrok.

– To byli ochroniarze, prawda?

Skinął głową. Wciąż milczał.

– A ty nie czujesz się źle? – naciskałem. – Z ich powodu?

– Odrobinę – odparł. – Chyba tak. Niezbyt dobrze ich znałem.

– Byli bezużyteczni.

– To wszystko potoczyło się tak szybko.

– Tamci czekali na miejscu – przypomniałem. – Stara, odrapana furgonetka stojąca pod bramą eleganckiej uczelni. Jaki ochroniarz nie dostrzega czegoś takiego? Nigdy nie słyszeli o ocenie zagrożenia?

– Twierdzisz, że ty zauważyłeś?

– Zauważyłem.

– Nieźle jak na kierowcę.

– Byłem w wojsku. W żandarmerii. Znam się na ochronie i ocenie strat ubocznych.

Chłopak skinął niepewnie głową.

– To co, masz jakieś nazwisko?

– To zależy – powiedziałem. – Muszę wiedzieć, na czym stoję. Mogę mieć poważne kłopoty. Co najmniej jeden policjant nie żyje, a przed chwilą ukradłem samochód.

Znów umilkł. Ja też milczałem, kilometr za kilometrem.

Dałem mu dość czasu do namysłu. Zbliżaliśmy się do granicy stanu.

– Moja rodzina docenia lojalność – powiedział w końcu.
– Wyświadczyłeś przysługę ich synowi i im także. W najgorszym razie oszczędziłeś im pieniądze. Okażą ci wdzięczność. Jestem pewien, że za nic w świecie by cię nie wydali.

– Musisz do nich zadzwonić?

Pokręcił głową.

– Oczekują mnie. Skoro mam się zjawić, nie muszę nikogo zawiadamiać.

– Policja do nich zadzwoni. Pewnie myślą, że wpadłeś po uszy.

– Nie mają numeru, nikt go nie ma.

– Na uczelni musiałeś podać adres. Znajdą numer.

Znów pokręcił głową.

– Uczelnia nie zna adresu, nikt go nie zna. Jesteśmy bardzo ostrożni.

Wzruszyłem ramionami i w milczeniu pokonałem kolejny kilometr.

– No a ty? – spytałem. – Sypniesz mnie?

Dostrzegłem, jak dotyka prawego ucha, tego, które wciąż miał. Był to nieświadomy gest.

– Ocaliłeś mi skórę – odparł. – Nie zamierzam cię sypnąć.

– Dobra – powiedziałem. – Nazywam się Reacher.

• • •

Przejechanie malutkiego narożnika stanu Vermont zabrało nam kilka minut. Potem skierowaliśmy się na północny wschód przez New Hampshire. Czekala nas długa jazda. Mój poziom adrenaliny opadł, chłopak otrząsnął się z szoku i obaj zaczęliśmy odczuwać przygnębienie i znużenie. Opuściłem szybę, by wpuścić do środka trochę powietrza. Hałas i przeciąg pokonały senność. Trochę rozmawialiśmy. Richard Beck wyznał, że ma dwadzieścia lat. Był na przedostatnim roku, specjalizował się w jakiejś dziedzinie sztuki nowoczesnej,

która przypominała dziecinne bazgroły. Kiepsko sobie radził w kontaktach z ludźmi. Był jedynakiem. Wyczułem w nim mnóstwo sprzecznych uczuć wobec rodziny. Niewątpliwie tworzyli zamknięty klan i w jakimś stopniu chciał się stamtąd wyrwać, a jednocześnie pragnął pozostać w rodzinnym azylu. Niewątpliwie poprzednie porwanie wstrząsnęło nim do głębi. Zastanawiałem się, czy nie spotkało go coś jeszcze poza obcięciem ucha. Może coś znacznie gorszego.

Ja opowiedziałem mu o wojsku. Podkreślałem swoje kwalifikacje ochraniarskie – chciałem, by poczuł się pewnie, by zrozumiał, że jest w dobrych rękach. Przynajmniej chwilowo. Jechałem szybko, ale bezpiecznie. Okazało się, że w maximie jest pełen bak, nie musieliśmy skręcać na stację. Chłopak nie miał ochoty na lunch. Zatrzymałem się raz, by skorzystać z toalety. Zostawiłem włączony silnik, by znów nie grzebać w przewodach. Gdy wróciłem do wozu, dzieciak siedział nieruchomo w środku. Ruszyliśmy dalej, ominęliśmy Concorde w New Hampshire, kierując się w stronę Portlandu w Maine. Czas mijał. W miarę jak zbliżaliśmy się do jego domu, Richard Beck wyraźnie się odprężył. Ale też stawał się mniej rozmowny. Mieszane uczucia.

Przekroczyliśmy granicę stanu. A potem około trzydziestu kilometrów przed Portlandem chłopak obrócił się, spenetrował uważnie okolicę przez tylną szybę i polecił, żebym skręcił przy następnym zjeździe. Znaleźliśmy się na wąskiej drodze zmierzającej na wschód w kierunku Atlantyku. Przebiegała pod autostradą I-95, a potem ciągnęła się ponad dwadzieścia dwa kilometry, przecinając granitowy półwysep, aż do morza. Latem otaczający nas krajobraz wyglądałby wspaniale. Na razie jednak wciąż było zimno i surowo. Widziałem drzewa powykrzywiane od słonego wiatru i nagie skały w miejscach, gdzie sztormy i huragany porwały ze sobą cienką warstewkę gleby. Droga wiła się i skręcała, jakby pragnęła przebić się jak najdalej na wschód. Dostrzegłem przed sobą ocean, szary niczym stal. Droga omijała niewielkie zatoczki z lewej i

z prawej. Ujrzałem wąskie kamieniste plaże. A później skręciliśmy w lewo, zaraz potem w prawo i w górę, na przylądek w kształcie dłoni zwięzającej się ostro w samotny palec, który wbijał się w morze. To był skalisty cypel, szeroki na jakieś sto metrów, długi na siedemset. Czułem powiewy wiatru uderzające w samochód. Przed sobą zobaczyłem szpaler pokrzywionych, mizernych, wiecznie zielonych drzew, próbujących ukryć wysoki granitowy mur, nie dość jednak wyniosłych i gęstych, by to osiągnąć. Mur wznosił się na jakieś dwa metry. Wieńczyły go pętle drutu kolczastego. W równych odstępach umieszczono na nim reflektory. Biegł w poprzek całego stumetrowego cypla. Na końcach gwałtownie opadał w dół, aż do morza. Masywne fundamenty łączyły się gładko z wielkimi kamiennymi blokami, wilgotnymi od wodorostów. Pośrodku muru osadzono ciężką żelazną bramę. Była zamknięta.

– To tu – oznajmił Richard Beck. – Tu właśnie mieszkam.

Szosa wiodła wprost do bramy. Tuż za nią zmieniała się w długi, prosty podjazd. W głębi wznosił się szary kamienny dom, na samym skraju palca, tuż nad oceanem. Obok bramy stał parterowy domek wzniesiony z tego samego kamienia i podobny do domu, lecz znacznie mniejszy i niższy, połączony fundamentami z murem. Zwolniłem i zatrzymałem się przed bramą.

– Naciśnij klakson – poprosił Richard Beck.

Na pokrywie poduszki powietrznej nissana dostrzegłem niewielki przycisk w kształcie rogu. Przyduśliłem go palcem. Klakson zahuczał uprzejmie. Kamera przemysłowa na jednym ze słupów bramy obróciła się w stronę samochodu niczym małe szklane oko patrzące wprost na mnie. Po długiej chwili drzwi domku otworzyły się i ze środka wyszedł mężczyzna w ciemnym garniturze. Garnitur niewątpliwie pochodził ze sklepu dla ludzi wysokich i mocno zbudowanych, zapewne w największym dostępnym rozmiarze, jednak tego człowieka marynarka opinała mocno w ramionach, a jej przykrótkie rękawy odslaniały przeguby. Właściciel garnituru był znacznie

większy ode mnie, co oznaczało, że zalicza się już do kategorii dziwolągów. Istny olbrzym. Podeszedł do bramy po swojej stronie i wyrzał. Przyglądał mi się przez długi czas. Chłopaka zaszczycił tylko jednym spojrzeniem. W końcu otworzył bramę i pociągnął do siebie skrzydła.

– Jedź prosto do domu – powiedział Richard. – Nie zatrzymuj się tutaj. Nie lubię tego faceta.

Przejechałem przez bramę, nie zatrzymując się. Jechałem jednak wolno i obejrzałem się za siebie. W nowym miejscu przede wszystkim należy sprawdzić drogę ucieczki. Mur opadał po obu stronach wprost do wzburzonej wody. Był zbyt wysoki, by go przeskoczyć, a drut kolczasty uniemożliwiał wspinaczkę. Tuż za nim rozciągał się trzydziestometrowy pas oczyszczonego terenu; wyglądał jak ziemia niczyja albo pole minowe. Reflektory ustawiono tak, by dokładnie go oświetlały. Jedyne wyjście stanowiła brama. Olbrzym zamykał ją właśnie za nami, widziałem go w lusterku.

Pod dom prowadził długi podjazd. Z trzech stron widziałem szary ocean. Sam budynek był wielki i stary – być może wznosił go jeden z kapitanów jeszcze w czasach, gdy zabijanie wielorybów mogło przynieść fortunę. Kamienne ściany zdobiły misterne dekoracje, zwieńczenia i gzymsy. Płaszczyzny od strony północnej pokrywały szare porosty, inne były nakrapiane zielonkawo. Dwupiętrowy dom miał z tuzin kominów. Linia dachu, pełna szczytów, łamała się wielokrotnie. Wszędzie biegły poziome rynny i dziesiątki grubych metalowych rur do odprowadzania deszczówki. Dębowe drzwi frontowe okuto żelazem. Podjazd rozszerzał się przy końcu, tworząc niewielki placyk. Okrążyłem go w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i zatrzymałem się przed wejściem. Po chwili z domu wyszedł jeszcze jeden mężczyzna w ciemnym garniturze. Choć był zaledwie mojego wzrostu, znacznie niższy od faceta przy bramie, wcale mi się nie spodobał. Miał kamienną twarz i pozbawione wyrazu oczy. Otworzył drzwi maximy od strony pasażera, jakby nas oczekiwał – i pewnie

tak było, bo olbrzym z domku na pewno go uprzedził o naszym przyjeździe.

– Zaczekasz tutaj? – poprosił Richard.

Wyślizgnął się z samochodu i zniknął w mrocznym wnętrzu domu. Mężczyzna w garniturze zamknął za nim dębowe drzwi i stanął na zewnątrz, tuż za progiem. Nie patrzył wprost na mnie, wiedziałem jednak, że obserwuje mnie kątem oka. Rozłączyłem przewody pod kolumną kierownicy, zgasilem silnik i czekałem.

Trwało to dość długo, około czterdziestu minut. Przy wyłączonym silniku w samochodzie zrobiło się zimno. Wóz kołysał się łagodnie w powiewach morskiego wiatru. Patrzyłem przed siebie, na północny wschód. Powietrze było niezwykle przejrzyste, widziałem po lewej stronie brzeg i niewyraźny ślad brązu jakieś trzydzieści kilometrów dalej. Zapewne zanieczyszczenia z Portlandu. Widok na miasto przesłaniał mi przylądek.

Wreszcie dębowe drzwi otworzyły się ponownie, strażnik odstąpił na bok i ze środka wyszła kobieta. To była niewątpliwie matka Richarda Becka, poznałem to od razu: ta sama delikatna budowa ciała, blada cera, długie palce, mniej więcej pięćdziesiąt lat. Była ubrana w dzinsy i gruby rybacki sweter. Miała potargane od wiatru włosy. Sprawiała wrażenie zmęczonej i żyjącej w stałym napięciu. Zatrzymała się jakieś dwa metry od wozu, jakby dawała mi szansę zachowania godnego dżentelmena, czyli wyjścia jej naprzeciw. Otworzyłem więc drzwi i wysiadłem. Po długiej jeździe cały zeszywniałem. Podeszedłem do niej, a ona wyciągnęła rękę. Ująłem ją: była lodowata, wyczuwałem drobne kosteczki i ścięgna.

– Syn powiedział mi, co się stało – oznajmiła. Jej niski głos brzmiał lekko ochryple, jakby dużo paliła albo niedawno płakała. – Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna za to, że mu pan pomógł.

– Jak się czuje? – spytałem.

Skrzywiła się, jakby nie była pewna.